

Na pierwszy rzut oka wnętrze knajpy wyglądało tak samo jak każdego wieczoru. W przesyconym zapachem alkoholu powietrzu wibrowały dźwięki tworzące wokół chicagowski blues Stonesów i wybrzmiewały filozoficzne rozmowy podpitych już gości. Cudowny standard, rutyna, jeden z niewielu stałych punktów mojego świata. Chyba właśnie po to tam byłem, by usiąść na swoim stołku przy barze, poczuć w dłoni chłód szkła, smak alkoholu w ustach. Ja i ci wszyscy ludzie, my i nasze nawyki. Rozczuliło mnie to na tyle, że wyciągnąłem swój notatnik i nieskładnymi frazami spróbowałem oddać nastrój chwili. Szło jak krew z nosa.

Przy drinku zacząłem zastanawiać się nad powieścią, której dokończenie wciąż wydawało się realne, ale nie doszedłem do żadnych głębszych wniosków. Zauważyłem za to, że w barze pojawiło się kilkanaście nowych osób, w tym kilka całkiem ładnych dziewczyn. Każdej innej nocy odnotowałbym ten fakt i wrócił do picia, ale wraz z nimi zdecydowanie zmienił się klimat, zaczęły lecieć piosenki The Police, a ja wsłuchując się w głos Stinga, zauważyłem, że jedna z tych panienek ukradkiem mi się przygląda. Odwróciłem się

i uśmiechnąłem do napełnionej ponownie szklanki. Zaczynało się jak zwykle.

Dziewczyna wstała i skierowała się w stronę toalety. Wydawało mi się, że specjalnie idzie powoli, abym mógł odprowadzić ją wzrokiem. Bawiło mnie to. Zupełnie jakby podeszła i zapytała, czy chcę zagrać z nią w grę. Widziałem w tym tylko jeden problem – szala zwycięstwa była już przechylona. Oczywiście nie na moją stronę.

Jej powolny chód wydawał mi się niemal tańcem. Trudno było mi uwierzyć, że wykonuje go specjalnie dla mnie, ale właśnie tak to wyglądało. Jej szczupła sylwetka, osłonięta przez zsuwający się z ramion sweter, wirowała w niewidocznym dla nikogo zmysłowym ruchu... A może to była tylko moja wyobraźnia? Może po prostu byłem jeszcze spalony? Jakby w odpowiedzi na te wątpliwości dziewczyna, która niemal dotarła już do celu, odwróciła się na moment i spojrzała wprost na mnie. Mrugnęła cudownie oliwkowymi oczami i z powrotem skierowała się w kierunku toalety, potrząsając przy tym brązową burzą włosów. Zakląłem w duchu, wiedząc, że te oczy zadbają o to, bym nie przespał kilku najbliższych nocy.

*

Przedstawienie zaczęło się pół godziny później, kiedy to właścicielka tych oczu przysiadła się do mnie i miłym głosem rozpoczęła rozmowę, której nigdy nie spodziewałem się z nikim prowadzić. Chociaż dla czegoś

by nie? Może właśnie po to tu przychodziłem? Z nadzieją, że pomiędzy jedną a drugą kolejką trafię na kogoś, kto faktycznie będzie miał mi coś do powiedzenia?

– Marek Przybicki, człowiek, który w wieku lat dwudziestu czterech uważa, że o życiu wie wszystko – powiedziała, uśmiechając się ironicznie. Zerknęła na stojącą przede mną szklanę. – To tak wygląda życie dekadenta?

– A jak ma wyglądać? – spytałem kompletnie zbity z tropu.

– W sumie to nie spodziewałam się niczego innego – rzuciła bardziej do siebie niż do mnie po niezwykle teatralnym westchnięciu. Wyglądała na nieco zawiedziona.

Wypiłem łyk whisky, słuchając, jak zamawia drinka o skomplikowanej nazwie, i ważyłem w głowie jej słowa. Na przekór temu, co podpowiadał mi mój wewnętrzny głos, zadałem jedyne właściwe w tej chwili pytanie:

– A czego miałybyś się spodziewać?

– Nie tego, że ktoś o takim talencie marnuje swoje życie w taki sposób – odpowiedziała.

Spojrzałem na nią podejrzliwie. Mówienie o talencie człowiekowi, którego samoocena leży na poziomie jego butów, zawsze wzbudza dziwne skojarzenia, ale nie mogłem nie przyznać, że podoba mi się to, co słyszę. Przynajmniej na tyle, by kontynuować grę, póki jeszcze była ciekawa.

– A co w dzisiejszych czasach może robić ktoś taki jak ja? – spytałem podejrzliwie.

– Może to, do czego jest stworzony? – spróbowała.

– Szklanka i ręka idealnie do siebie pasują – zademontrowałem, unosząc drinka i wypijając mały łyk. – Dokładnie tak jak do tego miejsca i do tego stanu.

– Bo o wiele łatwiej jest pozować na artystę, niż naprawdę nim zostać? – zapytała, wypowiadając na głos myśl, która często odbijała się echem od ścian mojej czaszki. – Nie nudzi cię taka gra?

– Pozować? – parsknąłem. – Ja po prostu robię swoje, piszę. Reszta nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– Piszesz? Ciągłe tylko próbujesz pokazać wszystkim wokół, jakim wielkim jesteś twórcą, który zamiast robić to, co do niego należy, chleje i udaje postać z amerykańskiego filmu. – Dziewczyna wyrzuciła z siebie tę krótką mowę, starając się, bym dobitnie zrozumiał każde słowo, tak jak to sobie zaplanowała. I chyba jej się udało.

Najgorsze było jednak to, że w pewnym sensie miała rację. Rzeczywiście grałem swoją rolę i pozwalałem na to, by przedstawienie nadal trwało, licząc na odmianę, która wciąż nie następowała. Czekałem wciąż na tę jedną szansę, która miała zmienić wszystko, wskazać jakąś lepszą ścieżkę. Trawiąc jej słowa, zorientowałem się, że owa szansa może w tej chwili siedzi obok mnie.

– Powiedzmy, że masz rację – zacząłem, po raz pierwszy od dawna czując, że odgrywam nowy akt w tej sztuce. – Co w takim razie powinienem zrobić, żeby zasłużyć według ciebie na miano pisarza? Niech zgodnę, pisać więcej?

– Nie tylko. Przede wszystkim przestać robić to na siłę, zacząć pisać dla pisania, a nie po to, by nazywać

się artystą – odparła zadowolona, że gram w jej grę. – I przestań uciekać od ludzi, w końcu to dla nich piszesz.

– Pisać dla pisania? – powtórzyłem sarkastycznie.

– W *Życiu dekadenta* wyraźnie widać, że napisałeś je tylko po to, by móc siedzieć w jakiejś knajpie, pić i uważać się za geniusza, co właśnie robisz – zauważyła. – A przecież nie o to w tym chodzi.

Tym razem ledwie powstrzymałem wybuch śmiechu, ale nie zrobiłem tego z grzeczności, a tylko dlatego, że czekał mnie kolejny pełen natchnienia wykład o powołaniu człowieka do wyższych celów niż pragnienie zaśnięcia w ciepłe z napełnionym żołądkiem. A tego rodzaju wykłady zazwyczaj bardzo mnie bawiły.

– Zamierzasz zatem wyjaśnić mi, o co chodzi w pisaniu, czy tak? – spytałem i dla bezpieczeństwa dokończyłem swoją whisky, by od razu poprosić barmana o kolejną. – Proszę bardzo, pisarz, który nie jest pisarzem zamienia się w słuch.

Myślałem, że odpuści, zdenerwuje się i odejdzie, rzucając przy tym mało pochlebną uwagę na mój temat, ale nie, została. Westchnęła tylko ciężko, tak jakby zrozumiała wreszcie, że ma do czynienia z beznadziejnym przypadkiem, upiła mały łyk swojego drinka i znowu obróciła ku mnie swoje cudowne oczy.

– W pisaniu nie chodzi o to, by coś dzięki niemu osiągnąć, ale o to, by zmieniać ludzkie życie – powiedziała z zapałem, który potwierdzał, że naprawdę w to wierzy. – Dobre książki mogą ludziom wiele dać, sprawić, że po ich przeczytaniu staną się lepsi, być może całkowicie przemeblują swoje życie... I właśnie o to

chodzi w pisaniu. Żeby robić coś dla ludzi najlepiej jak się to potrafi. A ty się do tego nadajesz, tylko że...

– Naprawdę uważasz, że warto coś dla nich robić? – przerwałem jej. – Sądzisz, że ludzi obchodzi, co ktoś taki jak ja ma do powiedzenia? Że będą potrafili to zrozumieć i coś z tego wyciągnąć? Mamy XXI wiek, dobę głupoty i kotów w Internecie! Nikt już nie szuka życiowych prawd w książkach, większości nawet nie chce się wziąć jakiegokolwiek do ręki, a co dopiero mówić o głębszych przemysłeniach...

– I właśnie dlatego ludzie potrzebują książek, zwłaszcza teraz, gdy powoli o nich zapominają. Potrzebują takich ludzi jak ty, ale wy uciekacie od nich, odgradzacie się murem nienawiści od wszystkiego, co się wam nie podoba, stronicie od każdego, kto nie potrafi was zrozumieć – rzuciła oskarżycielskim tonem. – Naprawdę nienawidzisz ich wszystkich? – wskazała na ludzi siedzących w knajpie.

– To nie do końca tak – próbowałem uniknąć odpowiedzi, ale wiedziałem już, że nie dam rady. Dziewczyna poruszyła trybiki maszyny, która raz wprawiona w ruch musiała wystartować i pokonać całą trasę od początku do końca. – Oni nie wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi, niczego już kurwa nie wiedzą.

– I lepiej być skrzywdzonym i niezrozumianym pijakiem zamiast spróbować to zmienić? Bo tak jest łatwiej?

– Tego nie da się zmienić – niemal warknąłem. – Jest już za późno... Może sto lat temu to miało sens, ale teraz? Nikogo to nie obchodzi, ludzkie życie jest prostsze, gdy żyje się w ignorancji, kiedy nie czuje

się niektórych rzeczy, kiedy nie myśli się o pewnych sprawach.

– I ty możesz im je pokazać, zmienić ich – zachęcała, uśmiechając się przy tym uroczo. – Wystarczy, że przestaniesz widzieć wszystko w czerni. Że pozwolisz sobie na odrobinę światła.

– Świat nie jest czarno-biały – odparłem z goryczą. – Czarne i białe tak długo pierdoliły się ze sobą, że wszystko, co nam teraz pozostało, to odcienie szarości.

Ta mała przyzwoita metafora nie podziałała jednak odstrasząco. Przeciwnie. Moja rozmówczyni musiała mieć głęboko zakorzeniony kompleks mesjasza.

– Nie możesz być szary, wtedy jesteś nikim. Musisz wreszcie zebrać się w sobie i robić to, co umiesz, ale już nie dla jakiegoś nieistotnego celu. Zacznij pisać dla ludzi, a zobaczysz, że będziesz szczęśliwszy niż teraz.

– I mam po prostu w to uwierzyć? – spytałem, czując, że dziewczyna osiągnęła swój cel. Zachwiała mną, byłem pewien, że spędzę trochę czasu, zastanawiając się nad sobą, ale wiedziałem też, że nie będzie to łatwe. Nigdy nie było. – Tylko tyle, żeby móc jednocześnie pisać i być szczęśliwym?

– Aż tyle – odpowiedziała i dokończyła swojego drinka. – Pora już na mnie, powodzenia.

Zacząła się zbierać, a ja zorientowałem się, że nawet nie spytałem, jak ma na imię.

– Patrycja – odpowiedziała onieśmielona, jakby spośród wszystkich moich pytań nie spodziewała się tylko tego. – Mam na imię Patrycja.

– Wydaje się, że wiele o mnie wiesz, Patrycjo. A ja o tobie nic... Co byś powiedziała na to, by zostawić mi

coś poza imieniem, gdybym chciał kontynuować tę terapię?

Wyraźnie się zawahała. Widocznie planowała jedynie zburzyć mój światopogląd i zniknąć, by oczekiwać skutków z dalszego planu. Rozumiałem to i spodziewałem się, że grzecznie odmówi, odejdzie, a ja nigdy więcej jej nie spotkam. Myliłem się, po krótkiej chwili dostałem od niej zapisany na chusteczce numer telefonu. Schowałem ją bezpiecznie w paczce papierosów i życzyłem mojej nowo poznanej terapeutce dobrej nocy, gdy odprowadzana moim wzrokiem wychodziła z baru.

Sam również nie pozostałem w nim długo. Nie mogłem spokojnie wysiedzieć na stołku, więc jednym haustem wychyliłem resztę trunku, zapłaciłem i wyszedłem.

*

Wracając do domu, chwiałem się mocniej niż zazwyczaj, potykałem się o mniejsze niż do tej pory kamienie i czkałem głośniejsz niż kiedykolwiek wcześniej. Wciąż zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem od Patrycji. Jej słowa huczały w mojej głowie ciągle od nowa, za każdym razem dotykając najwrażliwszej części mojej zapijaczonej istoty, która w taki sposób starała się ukryć przed światem.

Kiedy w końcu dotarłem do właściwego osiedla i spojrzałem na jeden z bloków, nie wytrzymałem, zachwiałem się mocno, po czym ozdobiłem chodnik tuż

przed swoimi stopami malowniczym pawiem. Czułem, jak razem z wymiocinami pozbywam się ciężaru, którego dotąd nie potrafiłem z siebie zrzucić. Wiedziałem, że choć przez chwilę będzie lepiej.

Dotarłem do swojego przyzwyczajonego do tych widoków mieszkania i bez zbędnego ociągania rzuciłem się na łóżko z zamiarem spania aż do końca świata i kilka godzin dłużej. Musiałem jednak zadowolić się pobudką o godzinie czternastej dnia następnego i głośnym dźwiękiem dzwonka, który oznajmiał, że trzech zdenerwowanych facetów czeka na dole, aż zwlokę swoje żalosalne cztery litery i wybiorę się z nimi, by dopełnić ceremonii chłania piwa podczas spaceru przez bezpańskie pola za miastem.

– O! Ale kac, ale kac! – zaśmiał się na mój widok Tomek, wysoki, wychudzony blondyn, perkusista w lokalnym zespole rockowym. Nie byłem w stanie odpowiedzieć mu w błyskotliwy sposób, więc po prostu wyszczerzyłem zęby w wymuszonym uśmiechu i przywitałem się z pozostałymi członkami kompanii.

A byli nimi oczywiście Ignacy, który za nic nie mógłby przegapić okazji, by zrobić sobie przerwę w malowaniu w towarzystwie napojów wysokowych, a także Andrzej, brunet napoleońskiego wzrostu, który jako jedyny z nas był człowiekiem na tyle poważnym, by posiadać prawdziwą pracę, co w jego przypadku oznaczało rozkręcanie firmy zajmującej się zakładaniem instalacji elektrycznych.

Znaliśmy się już kupę czasu, więc kiedy moja kompania zauważyła, że jestem nieco bardziej powściągliwy w rzucaniu irracjonalnych uwag i wybuchaniu

szaleńczym śmiechem, zaczęły się pytania. I odpowiedzi, nigdy niebędące takimi, jakie chce się usłyszeć.

– Czekaj moment – zawołał Ignacy, gdy skończyłem. – Zamierzasz teraz się zmienić z powodu jakiejś przypadkowej dupy poznanej w barze? Nie sądzisz, że to zalicza się do kategorii „żałosne i kompletnie bez sensu”?

– Tylko jeśli ujmiesz to w ten sposób – odpowiedziałem. – Zresztą na razie myślę o czymś zupełnie innym.

– No nie... Serio?

– A czemu by nie? – spytałem. – Może dla odmiany wszystko potoczy się po ludzku.

– O ja pierdole...

– To może ktoś nas wprowadzi w temat? – poprosili Andrzej z Tomkiem, którzy byli przez chwilę o wiele bardziej skupieni na walorach przebiegającej obok dziewczyny, która postanowiła wykorzystać tę polną ścieżkę jako trasę do joggingu.

– Nie ma żadnego tematu, przynajmniej na razie nie.

– Już ja znam to twoje „na razie nie” – mruknął Tomek. – Znowu władujesz się w jakieś gówno i będziesz odgrywał cierpiętnika.

Przyznałbym mu rację, ale było już za późno. Wpadłem jeszcze poprzedniej nocy w barze. Już wtedy wiedziałem, że nie zadowolę się tą jedną rozmową, którą mnie uraczyła, że zrobię wiele, aby dowiedzieć się, dlaczego do mnie podeszła i zaserwowała mi ten wykład. Dlaczego zależało jej na tym, żeby mnie zmienić? Była zagadką, a ja facetem z kompleksem Rubika. Cholernie chciałem rozwiązać tę łamigłówkę.

Piwko w plenerze w połączeniu z długim, spokojnym spacerem zawsze działały na mnie uspokajająco, więc gdy wróciłem do mieszkania, czułem się o wiele lepiej. Oczywiście w mojej głowie wciąż szalał huragan sprzecznych myśli, ale były one na tyle składne, że postanowiłem je wykorzystać.

Odpaliłem laptopa i prędko otworzyłem odpowiedni plik. Przeczytałem te kilkadziesiąt stron, które miały być początkiem powieści, ale okazało się, że raczej stanowią zbiór niezwiązanych ze sobą opowiadań, więc bez zbędnego zastanawiania się usunąłem wszystko. Przekonany, że książka zasługuje na nowy początek, usiadłem wygodnie na kanapie w salonie, położyłem laptopa na kolanach i zacząłem pogrążyć się w oddechach słów, zdań i stron.

W pokoju słychać było jedynie uderzenia palców o klawisze, które raz po raz odnajdywały właściwe zestawienia wyrazów, mające oddać sytuację, w której aktualnie się znajdowałem. O dziwo, dzisiejszego wieczoru zdawało się to mieć sens. Zupełnie jakby tym konkretnym słowom było przeznaczone pojawić się właśnie dziś na ekranie mojego komputera i tym

samym umożliwić mi powrót do stanu, w którym nie liczyło się nic poza obecną chwilą, poza następnym słowem. I kolejnym, a potem znowu nowym.

*

Następnego poranka obudziłem się później niż zazwyczaj, gdy zegar na szafce nocnej wskazywał godzinę dziesiątą z minutami. Nie zwlekając zbyt długo, opuściłem swoje leże i udałem się do drugiej po barku najważniejszej rzeczy w moim mieszkaniu – ekspresu do kawy stojącego w kuchni.

Słuchając, jak ekspres bezlitośnie mieli ziarna kawy, zastanawiałem się nad tym, co wczoraj napisałem. Realną wartość tego mogłem ocenić dopiero teraz, z kilkugodzinnej perspektywy. Myśląc, obserwowałem, jak kropla po kropli kawa kapie do kubka i w końcu wypełnia go czernią niemal po brzegi. Podniosłem go, wypiliśmy mały łyk i zadowolony zasiadłem na kanapie. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że napisane przez noc szesnaście stron naprawdę się do czegoś nadawało.

Był 5 września, światem ciągle władało słońce, a ja znowu mogłem powiedzieć, że piszę. Dzień zapowiadał się wcale nie najgorzej. Brakowało jeszcze tylko ambitnego pomysłu na spędzenie tych dwudziestu czterech godzin. Chwilę później zaspokoili tę potrzebę dzwoniący telefon. Na ekranie wyświetliło się zdjęcie Ignacego.

– Co jest? – rzuciłem.

– Pamiętasz Bogdana? – spytał. Oczywiście, że pamiętałem, takich pomyślników się nie zapomina. –

Skurwiel naprawdę założył zespół i zamierza dać dziś koncert w jakiejś knajpce na przedmieściach.

– Idziemy! – zawołałem. – Pół życia gada nie widziałem, a jeśli naprawdę jedyne, co przez ten cały czas robił, to granie na gitarze, może będzie warto...

– A jak nie, to zawsze pozostaje opcja numer dwa – zasugerował zadowolonym głosem malarz.

– Wchodzę w to – odparłem.

Dowiedziałem się jeszcze gdzie i o której godzinie mam się stawić, a potem, mając do dyspozycji trochę czasu, postanowiłem zmarnotrawić go na perfekcyjne nicnierobienie.

*

Knajpa, do której prowadził mnie Ignacy, znajdowała się w okolicy, z której już nawet najbardziej tępe wrony zawracały, wiedząc, że czeka tam na nie jedyne koniec cywilizacji albo celnie rzucony kamień. Jednak to nie urokliwych wrażeń szukaliśmy dzisiejszej nocy, a tego jednego człowieka, którego nie sposób było nie rozpoznać na poplamionym plakacie z wielkim żółtym napisem „Bogdan i jego zespół”. Widniał na nim ubrany od stóp do głów w dzins szaleniec z wykrzywioną twarzą w losowym grymasie i czarnymi włosami opadającymi na uszy.

– Koruwiński! Ty stary kurwiarzu! – krzyknął głos za nami. – I ty, Przybicki! Widzę, że dalej łąsisz w tych starych lenonkach! Ech... Od kiedy to spedalona hipsteriada stała się modna...

Właścicielem głosu był oczywiście Bogdan, który swoim zwyczajem gnoił wszystko, co chodziło, od-
dychało bądź też zupełnie przeciwnie. Mimo że nie
widziałem go kawał czasu, byłem przygotowany na ta-
kie teksty, dlatego też odwróciłem się, uśmiechnąłem
i uściśnąłem dłoń szaleńca, któremu częściej zdarzało
się witać za pomocą pięści.

– Powiedziała chodząca fabryka dżinsu – odciąłem
się, ale musiałem przyznać, że była to jak na mnie dość
wyważona riposta.

Weszliśmy do środka, po czym przekonaliśmy się, że
knajpa nie wygląda wcale lepiej niż na zewnątrz, ale
według standardów obowiązujących miejsca przezna-
czone do zalania się w trupa przedstawiała się całkiem
nieźle. Nie zamierzając czekać, aż pojawią się stali by-
walcy, zamówiliśmy po piwie i wypytałismy Bogdana,
gdzie szwendało się jego pomyłone dupsko, odkąd
opuścił nasze niewielkie miasto. Uraczył nas zmyśloną
przed sekundą historyjką o podróży do wielkiego mia-
sta i graniu na gitarze na rynkach, aż do chwili, gdy
poznał dwóch podobnych do siebie zapaleńców, z któ-
rymi miał dziś zagrać.

Chwilę później zostawił nas, by odnaleźć członków
swojego zespołu i podłączyć sprzęt. Ignacy i ja są-
czyliśmy piwo i patrzyliśmy, jak powoli w barowych
ciemnościach ludzie odnajdują swoje stoliki i zama-
wiają drinki. Rozmowa, zgodnie ze zwyczajem, ze-
szła na temat pracy, więc nie omieszkałem pochwalić
się postępem w swojej. Standardowo malarz zareago-
wał lekkim niedowierzaniem, po którym nastąpiła
fala narzekań na koszt materiałów potrzebnych do

wypełniania jego powinności. Nigdy się nam to nie nudziło.

– Do pełnego sukcesu brakuje mi jeszcze spotkania z Patrycją – powiedziałem po krótkim milczeniu.

– Serio chcesz się łądować w to bagno?

– Wygląda na to, że chcę, ale jeszcze nie ogarnąłem, dokąd moglibyśmy pójść.

– To weź ją na moją wystawę w przyszłym tygodniu – zasugerował Ignacy. – Przynajmniej będę miał pewność, że raz przyjdiesz trzeźwy...

– Powiedział ten, co nigdy nie pije... – Pociągnęliśmy po sporym łyku z butelek. – Planujesz w ogóle się tam pojawić?

– Może następnym razem – odparł wymijająco.

– Ale pomyśl sam w sobie nie jest zły – przyznałem. – Wystawa czarno-białych obrazów, hm?

Wszystko to brzmiało nieźle. Wystawa obrazów Ignacego wydawała mi się odpowiednim pretekstem do spotkania z nią i na pewno było to coś, czego nie ogląda się na co dzień. Atmosfera, która zawsze panowała w takich miejscach, także mi odpowiadała. Pozostawało jedynie wykorzystać numer z chusteczki, która wciąż spoczywała w jednej z pustych paczek po papierosach, tarzających się po podłodze mojej sypialni.

Minęła krótka chwila, w trakcie której zdążyliśmy zamówić po następnej butelce piwa, a Bogdan i jego zespół pojawili się na maleńkiej scenie umieszczonej mniej więcej w centrum pogrążonej w półmroku i w papierosowym dymie sali. Poza naszym kumplem na scenie zaprezentowali się ubrany w zielony garnitur, na oko dwudziestoletni wyrostek z gitarą imitującą

falliczny kształt oraz rudowłose, ledwie widoczny w ciemnościach grubas, którego miejsce było za jaskrawoczerwoną perkusją.

– No to napierdalamy! – wrzasnął do buczonego mikrofonu Bogdan i z wielką pasją zaczął uderzać w struny swojej gitary. – Zostań! Zostań! Zostań...

Do naszych uszu docierały odtąd efekty muzycznych eksperymentów Bogdana połączone z jego niezrozumiałymi wrzaskami, które dla przeciętnego słuchacza na pewno nie były muzyką, ale w tych brutalnych dźwiękach i jękach tkwiła jednak jakaś przedziwna siła. Coś na kształt wewnętrznej mocy, która miała po prostu zmiażdżyć człowieka falą decybeli, po czym wyrzucić go na bezpieczny brzeg – oczyszczono i prawie głuchego. Zespołowi można było zarzucić wszystko, poza jednym niezaprzeczalnym faktem.

– Politycy kłamią, banki kłamią... – darł się Bogdan. To, co robili, naprawdę działało.

Kalendarz wskazywał datę 10 września, a zegar coś na kształt godziny siedemnastej. Za godzinę miałem spotkać się z Patrycją, aby zabrać ją na wystawę obrazów Ignacego, którą udało mu się zorganizować w jednej z mniejszych galerii sztuki w centrum miasta. Nie byłem do końca przekonany, czy to dobry pomysł, ale każde wspomnienie naszej rozmowy odbytej w barze wzmagало we mnie chęć do pisania, dlatego postanowiłem zaryzykować.

Ignacy poinformował mnie wcześniej, że organizatorzy wymagają, by goście wyglądali jak ludzie. W moim przypadku oznaczało to zmuszenie się do wdziania garnituru i odkrycia tajemnic wiązania krawatów, a także założenie pasujących do tego stroju butów, co traktowałem jak karę. W efekcie nie prezentowałem się jednak tak strasznie, jak początkowo przypuszczałem. Nieco pocieszony tym faktem wyszedłem z mieszkania, aby zdążyć przed czasem na miejsce spotkania.

Na ulicy spotkałem sąsiadkę zajmującą mieszkanie naprzeciwko. Dlaczego takie kobiety dostrzega się dopiero wtedy, gdy idzie się na spotkanie z inną? Złośliwość losu przybrała postać wysokiej i szczupłej

dziewczyny o długich czarnych włosach i równie urzekająco czarnych oczach, w których odbijały się promienie jesiennego słońca. Dzisiejszego dnia miała na sobie obcisły czerwony top i czarne legginsy, które czyniły niemożliwym niezwrócenie uwagi na jej wysportowaną sylwetkę.

Jak zwykle towarzyszył jej pies, cocker spaniel o jasnobrązowej sierści, nieodstępujący swojej pani na krok, skutecznie powstrzymujący każdą moją próbę poznania jej bliżej. Szczekał, warczał i gryzł, byle bym tylko trzymał się od niej z daleka. Może wyczuwał, jakie zamiary mam wobec tego ciała? Kto wie? Dzisiaj nie było jednak czasu na pogawędkę. Musiałem czym prędzej znaleźć się w umówionym miejscu, by spotkać się z kobietą tego warta. Być może.

*

Pod galerię dotarłem o wiele wcześniej, niż planowałem, ale była to opcja, którą mogłem zaakceptować. Patrycja powinna pojawić się za około dwadzieścia minut, miałem więc czas na to, by zapalić papierosa, zerknąć na wystawę monopolowego po drugiej stronie ulicy, a także poobserwować ludzi, którzy podobnie jak ja przybyli na wystawę lub też zostali zwabieni napisem oznajmiającym „Ignacy Koruwiński – achromatyczny”.

Goście przybyli, wiedziałem jednak, że główny zainteresowany znajduje się teraz bardzo daleko od galerii. Ignacy, o ile w ogóle zadawał sobie trud, by pojawiać

się na swoich wystawach, prawie zawsze przychodził spóźniony. Za każdym razem miał dla publiczności perfekcyjnie przygotowaną wymówkę, a goście albo przyjmowali to jako rzecz naturalną w jego artystycznym fachu, albo oburzali się, czekając, aż malarz przeprosi ich wszystkich i każdego z osobna. Jedno z dwojga.

Zaciekawiony, gdzie tym razem poniosło Ignacego, wydobyłem z kieszeni marynarki telefon, wybrałem numer i czekałem na połączenie. Odebrał natychmiast.

– Kojarzysz, że masz dzisiaj wystawę, nie? – spytałem.

– Taaa – odezwał się zmęczony głos. – Nie będzie mnie, mam dość.

– Stary, to twoja własna wystawa i twoje obrazy – przypomniałem mu. – Twój czas!

– I co z tego? Zawsze jest tak samo. Przychodzą, oglądają i pytają o to samo! – narzekał Ignacy.

– Przyjedź, pogadaj, napij się wina... – przekonywałem. – Nie może być gorzej niż ostatnio.

– Akurat ty powinieneś wiedzieć, o co mi chodzi – powiedział i westchnął ciężko. – Dobra, pomyślę, ale niczego nie obiecuję!

– Jak zawsze – mruknąłem, rozłączając się.

Miał rację. Wiedziałem. W naszym fachu zawsze istniała lista pytań, które określaliśmy mianem „zła koniecznego”. Powtarzały się one przy każdej okazji, bo przecież opowiadając o swojej pracy, mogliśmy udzielić ograniczonej liczby odpowiedzi. Przynajmniej według tych, którzy te pytania zadawali. Obaj próbowaliśmy wtedy jak najwięcej fantazjować, ale sprowadzało się to do opowiadania ze szczegółami tej samej treści, tylko w nieco innej formie. Koszmar.

Tego wieczoru kilka rzeczy zdecydowanie można było uznać za wyjątkowo udane. Przede wszystkim wrażenie, które zrobiła na mnie Patrycja, pojawiając się na miejscu w oplatającej jej figurę obcisłej, szkarłatnej sukience, która aż prosiła się o to, by zerwać ją z tego idealnie ukształtowanego ciała i odsłonić je tak samo, jak najdłuższe nogi na świecie, uzbrojone w szpilki o równie intensywnej co sukienka barwie. Całokształtu dopełniały podkreścone włosy, tworzące wokół jej twarzy dziką kompozycję. Z jej oczu biła wesołość. Gdy ją zobaczyłem, przeszedł mnie dreszcz. Ta wspaniała kobieta miała właśnie minąć wszystkich innych gości i podejść do mnie. Wejść do środka i spędzić wieczór ze mną... Cokolwiek by się wydarzyło, wiedziałem już, że będzie warte każdego wyzwania, które zostanie mi rzucone. A czekało tego sporo.

– Wyglądasz cudownie – zdołałem z siebie wydusić po dłuższej chwili przyglądania się darom, którymi obсыpała ją natura.

– Dziękuję – uśmiechnęła się delikatnie. – Wejdziemy?

– Ależ oczywiście – odpowiedziałem uśmiechem, a przynajmniej tak mi się wydawało. – Wiem jednak z pewnych źródeł, że naszego malarza jeszcze tutaj nie ma...

Weszliśmy do przestronnego hallu, którego ściany były dziś niemal w całości pokryte obrazami oraz opisanymi technik zastosowanych przez mojego przyjaciela do ich namalowania. Wokół krążyli elegancko ubrani ludzie, również pary, ale żadna ze zgromadzonych tam kobiet nie wyglądała tak zjawiskowo jak moja

partnerka. Było to całkiem miłe uczucie, dzięki czemu próba interpretacji czarno-białych dzieł Ignacego wydawała się o wiele bardziej kolorowa.

Rozmowa koncentrowała się na obrazach i wywołanych przez nie emocjach, toczyła się gładko i przyjemnie. Oczywiście nasze interpretacje kompletnie się od siebie różniły. Przepelniona optymizmem Patrycja nawet w ponurych obrazach doszukiwała się elementów pozytywnych, co całkiem nieźle konkurowało z moim talentem do wynajdywania postaci lub zjawisk, które działały przygnębiająco.

– Mówisz tak, bo chcesz się czuć taki czarno-biały – zarzuciła mi po kolejnym ciągu pesymistycznych skojarzeń związanych z obrazem przedstawiającym człowieka pozbawionego wyrazu twarzy, który rozrywał sobie klatkę piersiową, by uwolnić organy wewnętrzne. – Założę się, że chodzi tu o pragnienie wolności.

– Akurat ten obraz po prostu zajebiście wygląda – odezwał się głos za naszymi plecami. – Ale to dobra historyjka, nada się dla ludzi.

– Jednak przyszedłeś – udałem zdziwienie i uściśnąłem dłoń Ignacego, który zgodnie z tytułem swojej wystawy miał na sobie jedynie czerń i biel w postaci swetra i dżinsowych spodni. – Nie jest tak źle.

– Byłoby lepiej w kolorze – wtrąciła Patrycja, wciąż oglądając obraz. – Mógłbyś przekazać więcej, gdybyś nie ograniczał się do dwóch barw.

– Dwóch? Tu jest ponad dwieście odcieni czerni i drugie tyle bieli! – zawołał głośno Ignacy, czym zwrócił na siebie uwagę kilku innych osób. – Oho, pora się przywitać...

Malarz odszedł, by porozmawiać z pozostałymi gośćmi, zostawiając nas samych sobie.

– Trafił swój na swego – zauważyła od razu Patrycja. – Zdecydowanie typ spod twojej gwiazdy.

– Fajnie mieć własną gwiazdę – uśmiechnąłem się i podążyłem za nią, by obejrzeć kolejny obraz.

Kątem oka zauważyłem, jak do Ignacego podchodzi rudowłosa dziewczyna w czerni i próbuje powiedzieć mu coś na ucho. Malarz najpierw się uśmiechnął, potem skrzywił, aż w końcu pokiwał głową i odszedł z nią na drugi koniec sali. Mnie pozostało zaś udać się za moją piękną partnerką i toczyć z nią kolejne potyczki słowne. Musiałem przyznać, że zarówno w barze, jak i tutaj, gdzie przecież czułem się jak na swoim terenie, Patrycja wciąż potrafiła sprawić, że wydawało mi się, jakbym był zwykłym uczniakiem bez grama wiedzy. W dodatku właśnie wywołano mnie do tablicy.